



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

KWESTIA CENY

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

WRZESIEŃ W WARSZAWIE — EKSPERYMENTALNE TERAPIE —
LE TRÉSOR PERDU — PROFESORKA LORENTZ — JEDZENIE
BANANA TO PORNOGRAFIA? — NIE INTERESUJE MNIE HISTORIA
SZTUKI — BURSZTYNOWA KOMNATA I ŻŁOTY POCIĄG —
TYLKO LODY CZEKOLADOWE — KWESTIA CENY — PROSZĘ
WIĘCEJ NIE KPIĆ Z POLIPIRYDIONA — ZAPOMNIAŁ, JAK MNIE
KOCHAĆ — WYJEŹDŻASZ W PIRENEJE

1

To takie nierzeczywiste, pomyślała. Przyjechała za wcześnie i usiadła na ławce przed blokiem po drugiej stronie ulicy, nie chcąc wchodzić do środka. Wokół niej trwał najzwyczajniejszy warszawski jesienny dzień, dzięki zmianom klimatycznym ciepły i słoneczny. Grupka licealnej młodzieży dokonywała niezwyklej sztuki głośnej i wielowątkowej towarzyskiej konwersacji, nie przestając jednocześnie gapić się w komórki. Ścieżką rowerową przejechał brzuchaty sześćdziesięciolatek, lśniący od opon po kask wartym tysiące złotych profesjonalnym sprzętem rowerowym. Znudzona opiekunka ciągnęła za sobą dwulatka ściskającego w małej dłoni kasztan. Znudzona matka ciągnęła za sobą dwulatka z liściem w dłoni i patrzyła z zazdrością na opiekunkę, licząc zapewne w pamięci, ile musiałaby zarobić po powrocie z urlopu wychowawczego, żeby wynająć opiekunkę. Łysy mężczyzna w średnim wieku, w dziwnym garniturze w stylu Waldemara Pawlaka z czasów jego premierowania, próbował sprawić, aby automat biletowy w końcu zaakceptował jego

3

banknot dziesięciozłotowy. Po każdej nieudanej próbie wygładzał go i próbował włożyć inną stroną.

– Nie to nie. Jeszcze do mnie wrócisz po tę dychę – powiedział w końcu uprzejmie do automatu, po czym dodał: – Chuju jeden.

Warszawski dzień. Tak zwyczajny, że aż niezauważalny. Pomyślała, że to takie nierzeczywiste. Że ona też powinna być częścią tego dnia i też go nie zauważać, zamiast czuć, że ogląda zza szyby utracony świat zwyczajnej codzienności.

Profesorka Zofia Lorentz zerknęła na zegarek, wstała i ruszyła w stronę kładki dla pieszych, żeby dostać się do Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

2

Czuła, że kobieta po drugiej stronie biurka stara się ukryć zniecierpliwienie tylko dlatego, że dzięki sieci osobistych kontaktów Zofia nie była po prostu kolejną pacjentką, którą należy grzecznie, ale stanowczo wyprosić, żeby wziąć się do prawdziwej pracy. Zniecierpliwienie, które promieniowało zza serdecznego uśmiechu, upokarzało ją, ale nie potrafiła się zmusić, żeby wstać, nie mogła tak po prostu wyjść z niczym, przecież właśnie ten obskurny gabinecik w tym okropnym budynku był jej ostatnią nadzieją na odpowiedzi. Jeśli wyjdzie teraz, nie da rady dłużej bronić się przed rozpaczą, po prostu nie ma już na to siły.

– Może są jakieś eksperymentalne terapie? – zapytała po raz trzeci i widząc, że kobieta o mało co nie przewróciła oczami, postarała się ująć to inaczej, udać, że tak naprawdę zadaje inne pytanie. – Do testów klinicznych szuka się przecież osób niemających nic do stracenia, tak? Ja znam ludzi, mogłabym zdobyć pieniądze.

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek westchnęła, zdjęła okulary w absurdalnie grubych oprawkach

i rozmasowała nasadę nosa. Wyglądała na wyczerpaną po dyżurze. Zofia naprawdę nie chciała jej męczyć, ale jaki miała wybór.

– Pani profesor – powiedziała lekarka spokojnie. – Pani jest historykiem sztuki. Sławnym historykiem sztuki, znanym z odszukiwania zaginionych skarbów kultury. Czy gdybym ja знаła ludzi i potrafiła zdobyć dowolne pieniądze i wystarczająco długo się do pani dobijała, czy podjęłaby się pani znaleźć dla mnie Atlantyde? Albo Bursztynową Komnatę?

Zofia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dlaczego?

– To byłoby nieuczciwe – powiedziała cicho, uciekając spojrzeniem jak uczennica przyznająca się do wagarowania. – Bursztynowa Komnata została zniszczona, a Atlantyda to fikcja literacka, tak samo prawdziwa jak Śródziemie.

– To jest podobna historia. Pani mąż – wskazała na pękającą teczkę pełną medycznych wyników – nie cierpi na chorobę Alzheimera. Wykluczono to w stu procentach. Nie cierpi też na demencję. Nie ma guza mózgu, urazu, mikrowylewów ani żadnej fizycznej nieprawidłowości. Nie ma objawów, które pozwoliłyby nam zdiagnozować depresję, nerwicę, chorobę afektywną dwubiegunową i wprowadzić leczenie inhibitorami. Nie ma schizofrenii. Nie ma genetycznych mutacji odpowiedzialnych za stwardnienie rozsiane, chorobę Huntingtona i wiele innych schorzeń. Lista możliwych nieprawidłowości, które wykluczaliśmy, jest ogromna.

– Ale on ciągle zapomina – powiedziała. – Jak to możliwe?

– Nie wiemy – odpowiedziała lekarka ze szczerym smutkiem. – Jak się czyta dodatek naukowy do „Newsweeka”, że amerykańscy naukowcy wszczepili elektrodę myszy, dzięki czemu wciska czerwony guzik, jak jest głodna, albo że inny obszar naszej kory mózgowej jest aktywny, gdy myślimy o tenisie, a inny, gdy o picu kawy, to już właściwie wszystko wiemy i zaraz będziemy wgrywali świadomość do internetu. A my o mózgu

nie wiemy prawie nic. I wszystkie nasze neurologiczne i psychiatryczne specjalizacje rozgrywają się w tym wąskim „prawie”. Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy mechanicy samochodowi świata potrafią tylko naprawiać karoserię, a co do reszty, to się muszą domyślać, co tam tak dziwnie stuka i szumi. Mózg to hiperaktywne sto miliardów neuronów, w których połączenia elektryczne zmieniają się z prędkością światła, to trochę tak jakbyśmy chcieli narysować mapę świata, w którym miasta, morza i kontynenty bez przerwy zmieniają miejsce. A potem jeszcze podróżować według tej mapy.

– Ale jak to możliwe, że on ciągle zapomina? – powtórzyła Zofia, zdając sobie sprawę, jak żałosny jest jej upór.

– Nie wiemy. Każde wspomnienie trafia najpierw do pamięci krótkotrwałej, a potem jest przechowywane w korze mózgowej. Ale nie całe.

– Nie rozumiem.

– Proszę sobie wyobrazić, że uprawia pani seks w zastawionym różami pokoju hotelowym nad brzegiem oceanu.

– Chętnie.

– No myślę. Wspomnienie zostanie tym lepiej i wyraźniej przechowane, im lepszy będzie pani miała orgazm. Po kilku minutach zostanie rozłożone na czynniki pierwsze i trafi do pani pamięci. Gdzie indziej zapach róż, gdzie indziej szum morza, gdzie indziej widok kochanka, gdzie indziej jego dotyk, gdzie indziej emocja miłości. Potem, jeśli na przykład w kwaciarni poczuje pani zapach róż, mózg złoży to wspomnienie ze wszystkich elementów. Może też pani je przywołać sama, siłą woli. Ale jeśli na przykład skutek urazu zostanie uszkodzony obszar odpowiedzialny za zapachy, to takie wspomnienie wróci, ale bez róż. Jeśli obszar odpowiedzialny za rozpoznawanie ludzi – bez twarzy kochanka. Miłość, dotyk, zapach, szum fal – to wszystko wróci jako wyraźne wspomnienie. Tylko kochanek anonimowy.

Profesorka Zofia Lorentz uśmiechnęła się czarnymi oczami.

– W wielu przypadkach to by nie było złe rozwiązanie.

– No miałam nadzieję, że panią rozbawię. Chodzi mi o to, że z jakiegoś powodu u pani męża szwankuje mechanizm składania wspomnień. Nie jest to żadna znana nam choroba spowodowana mutacją genetyczną. Powtórzę: nie jest to schorzenie neurodegeneracyjne, które zwykle diagnozujemy u osób starszych. To nieznany nam błąd największej, najbardziej skomplikowanej tajemnicy natury. I to jest zarówno zła, jak i dobra wiadomość.

– Dlaczego? W sensie, dlaczego dobra?

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek założyła z powrotem okulary.

– Bo może to w ogóle nie choroba? Może zmęczenie. Zła dieta. Może on nie wymaga operacji mózgu, tylko psychoterapii. Nie mówię, żebyście państwo od razu szukali akupunktury i wibracji mis tybetańskich, ale długie wakacje i mądry psycho-terapeuta to dobry początek. Ponieważ neurologia nie ma dla pani odpowiedzi.

Zza uchylonego okna dobiegł głośny huk. Zofia wyrzała, jakaś stłuczka. Narodowa, czerwony samochód wjechał w tył białemu. Kierowcy wyskoczyli i zaczęli machać rękami, obwiniając się nawzajem o zderzenie. Zazdrościła im. Chciała, żeby jej problemem był urwany zderzak i stłuczony reflektor. Rozumiała, że musi wyjść. Rozumiała, że na koniec jej rozmówczyni rozluźniła atmosferę i dała idiotyczną nadzieję tylko po to, żeby w końcu opuściła jej gabinet. Wakacje. Psychoterapia. Akupunktura. Chciało jej się płakać i śmiać jednocześnie. Mogła powiedzieć, co sądzi o akupunkturze w sytuacji, kiedy boi się wrócić do domu. Wczoraj czekała godzinę na klatce schodowej, skracając czas, jaki będą musieli spędzić wspólnie przed pójściem do łóżka. Żeby być jak najmniej razem, jak najmniej rozmawiać, jak najmniej odkrywać, że razem ze wspomnieniami ulatuje wszystko, co ich łączyło.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała, wstając. – Przepraszam, że zabrałam tyle czasu, po prostu wiedziałam, że jest pani moją ostatnią nadzieją.

Profesorka doktorka habilitowana Janina Kołeczek też wstała, żeby się pożegnać. Ale nic nie powiedziała, wyciągnęła tylko rękę na pożegnanie. Bała się, że jeśli otworzy usta, to powie coś, czego powiedzieć nie powinna. Żal jej było tej pacjentki, zbyt młodej na to, przez co przechodziła. Widziała lekkie przygarbienie jej drobnej sylwetki, tak charakterystyczne dla ludzi, którym los wrzucił na plecy zbyt duży ciężar. Widziała, jak szklą się jej niezwykle czarne oczy, gotowe spłynąć strumieniami łez, gdy tylko zamknie drzwi. Może nawet uda jej się dojść do toalety za zakrętem korytarza. Miała przed sobą twardzielkę, bez wątpienia. Janina Kołeczek widziała w tym gabinecie historie zakończone utratą przytomności, słyszała krzyki i groźby, odmawiała czeków, diamentowej biżuterii i walizek pełnych pieniędzy.

Widziała, do czego zdolni są ludzie, dla których była ostatnią nadzieją i wbrew oczekiwaniom nadzieja ta powiedziała im, że tak już po prostu będzie. Że to koniec. Będą wracali do domu, do kochanej mamy, męża, żony, dziecka – za każdym razem widząc w ich oczach coraz większe zdziwienie i niezrozumienie, że pojawił się ktoś obcy. Najpierw chwilowe, niezauważalne wahanie, potem widoczny wysiłek, w końcu strach, dzwonienie po policję, że ktoś się włamał do domu.

– Powiedziała pani, że to ma związek z emocjami – odezwiała się, klnąc w myślach najgorszymi słowami, kiedy Zofia otwierała drzwi. – Że istnieje korelacja pomiędzy intensywnością wspomnień i ich brakiem.

Profesorka Lorentz pokiwała głową.

– Skoro zna pani ludzi, którzy znają ludzi, i skoro kwestia ceny nie istnieje...

– Tak?

Brzydziła się sobą w tej chwili. Bardzo się sobą brzydziła. Ale skoro już zaczęła, mówiła dalej.

– Czuję się głupio, jako naukowiec muszę panią ostrzec, że wszystkie tak zwane szwajcarskie kliniki to hochsztaplerzy, budujący sanatoria w Alpach i sprzedający za miliony dolarów wodę z cukrem i ładnym widokiem tym, którzy stracili nadzieję i dla których kwestia ceny nie istnieje.

– Proszę.

Smutek i desperacja w głosie młodej kobiety brzmiały rozdzierająco.

– Jest klinika we francuskich Pirenejach, która specjalizuje się w leczeniu stresu posttraumatycznego. Tam, co prawda, problem jest odwrotny, intensywne emocje sprawiają, że wspomnienie nie chce nas opuścić. Ale być może mechanizmy są podobne.

– Jak się nazywa?

Cóż, teraz już nie mogła się zatrzymać. Powtarzała sobie, że to może wszystko zmienić. Dla wszystkich. Na zawsze. Tak blisko.

– *Le trésor perdu*. To po francusku oznacza...

Profesorka Zofia Lorentz nieoczekiwanie parsknęła śmiechem i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Skarb utracony. Wiem. Dziękuję.

Nie ma za co. Naprawdę nie ma za co, pomyślała gorzko Janina Kołeczek.

Żeby nie wybuchnąć, żeby się głośno nie roześmiać, żeby zapanować nad kotłującą się w niej gorzką, gryzącą wściekłością, skupiła się na wiszącym na ścianie obrazie. Pamiętała, że podpisywała zgodę na wypożyczenia po zmianie władzy, polskie malarstwo dziewiętnastowieczne, dzieła zbyt słabe na ekspozycję, ale zbyt dobre na magazyn, nawet cieszyła się, że zawisną w publicznym miejscu. W sali konferencyjnej, w której właśnie

zwalniano ją z pracy ustami podrzędnego podsekretarza stanu, zawisł niepokojący pejzaż Witolda Pruszkowskiego. Lubiła tego malarza, zwłaszcza w wersji fantastyczno-nieoczywistej, jak *Spadająca gwiazda* z ekspozycji. *Spadająca gwiazda*, pod tym powinni ją zwalniać, byłoby jak znalazł.

– Pani Zofio, rozumie pani, że w tej sytuacji nie mamy innego wyjścia.

– Profesorko Lorentz.

Podsekretarz zrobił minę bardzo zajętego człowieka, któremu ktoś bez sensu marnuje czas.

– Pani profesor Lorentz...

– Profesorko Lorentz.

– Tak prywatnie powiem – feminatywy jednak znacznie przekraczały możliwości leksykalne podsekretarza – że ja jestem po pani stronie, uważam, że sztuka musi prowokować, zmuszać do myślenia, wytyczać nowe myślowe ścieżki. Nawet jeśli dotyka tematów ideologii gender, takie prowokacje też są potrzebne. Ale nie kosztem dzieci. A już dla naszego narodu to jest kompletnie niezrozumiałe, że niosąc na sztandarach hasła troski o rodzinę i tradycję, pozwalamy traumatyzować dzieci pornografią. I to gdzie? W Muzeum Narodowym w Warszawie, najważniejszej instytucji kultury w Polsce.

Wiedziała, że powinna po prostu pożegnać się grzecznie i wyjść. Negocjowanie to strata czasu, wyjaśnianie oczywistości to dodatkowe zbędne upokorzenie. Przekonywanie, że zwalnianie ją, nie pozbywają się osoby, lecz sieci jej znajomości i powiązań, bez której większość spektakularnej działalności muzeum jest niemożliwa – równie bezcelowe. Wiadomo, że będzie raban w mediach, nie tylko w Polsce. Wiadomo, że pójdzie do sądu pracy. Wiadomo, że wygra. I co z tego? Nic. Ale dla efektu dramaturgicznego musiała wytrzymać jeszcze kilka minut.

– Jedzenie banana to pornografia? – spytała. – Tak już między nami, nie możecie mnie zwolnić za coś innego? Potrzebna wam ta fala kpin od Lizbony po Władywostok? Te happeningi

z ludźmi jedzącymi banany pod ministerstwem? Przecież skrzykną się momentalnie.

– Pani udaje, że nie rozumie. Nie chodzi o banana, przecież banan jako taki, jako część martwej natury, może być nawet dziełem sztuki. Albo u ludów prymitywnych na przykład.

– Jest dwudziesty pierwszy wiek, na litość boską.

– A co to ma za znaczenie?

– Nie mówimy o ludach... zresztą nieważne – machnęła ręką. – Proszę kontynuować.

Podsekretarz popatrzył podejrzliwie, ale nie doczekawszy się dalszego ciągu, kontynuował.

– Chodzi o sposób, w jaki artystka je banana. Lubieżny. Pornograficzny. Wyuzdany, prowokacyjnie feministyczny. Ten sposób sprawia, że ludzie piszą listy, w których opisują wracające z wycieczek rozhisteryzowane dzieci, które płaczą, że już nigdy nie chcą iść do muzeum, żeby oglądać „takie rzeczy”. Bo taka może być siła sztuki, i pani niestety albo tej siły nie kontroluje, albo celowo kieruje ją w złą, niszczycielską stronę. To sprawia, że jako urząd nadzorujący straciliśmy zaufanie, że potrafi pani pokierować tą placówką w sposób odpowiedzialny.

Zerknęła na zegarek, po czym złożyła ręce w piramidkę à la premier i uśmiechnęła się koncyliacyjnie.

– Chciałabym pana zapewnić, panie ministrze, że to potrafię. I że głos zwiedzających jest dla mnie ważny. Tak samo jak ważne jest dla mnie stanowisko organu nadzorującego, nie traktuję was jak polityków, tylko jako ludzi, którzy zaskarbili sobie zaufanie społeczeństwa i dostali demokratyczny mandat, żeby kontrolować różne aspekty życia publicznego, w tym obieg kultury i moją placówkę.

Podsekretarz patrzył podejrzliwie. Widać, że wolałby nie komentować, gdyż koncyliacyjny ton utrudniał mu zadanie, bardziej był przygotowany na krzyki o cenzurze i niezależności instytucji kultury. Ale Zofia zawiesiła głos, ewidentnie oczekując reakcji.

– Cieszę się, że pani to mówi – powiedział w końcu. – Co nie zmienia faktu, że...

Przerwała mu gestem.

– Rozumiem i chciałabym, żeby pan wiedział, że z pokorą przyjmuję państwa decyzję. Akceptując fakt, że nie każdy dyrektor nadaje się na każde czasy, niezależnie od kompetencji. Czas nie stoi w miejscu, psyche narodu też nie, tylko nieśmiertelna sztuka trwa.

Mężczyzna skinął z szacunkiem głową, aż nazbyt widocznie odetchnął z ulgą.

– W akcie dobrej woli, chcąc rozstać się w zgodzie, postanowiłam dostosować na odchodne ekspozycję muzealną do aktualnej wrażliwości narodowej. W chwili kiedy rozmawiamy, pracownicy muzeum przebudowują ekspozycję stałą. Zastaniamy wszystkie dzieła, które zawierają w sobie element przemocy lub nagości. Reforma obejmuje – wyjęła kartkę z torebki – w sumie czterysta osiem dzieł, w tym wszystkie zawierające sceny batalistyczne, moment zgonu lub pokazywanie zwłok, polowania, pełne i niepełne akty damskie i męskie. Najbardziej ucierpiała niestety sztuka religijna, bez ukrzyżowań, męczeńskich śmierci i karmiących madonn niewiele tam zostało, ale też może to być ciekawy przyczynek do dyskusji nad okrucieństwem w religii w ogóle, nie sądzi pan?

Zawiesiła głos, czekając na odpowiedź, ale tym razem podsekretarz tylko patrzył na nią zbaraniały, więc po chwili mówiła dalej.

– Tak już osobiście, między nami, powiem panu, że mi najbardziej będzie chyba brakować *Baniek* Malczewskiego. A widziałam *Bitwy pod Grunwaldem*. Ale rozumiem kwestię odpowiedzialności za dzieci i młodzież, to w końcu placówka edukacyjna.

– Kpi pani.

– Wcale nie.

Podsekretarz pobił.

– Nie zdejmie pani *Bitwy pod Grunwaldem*.

– Oczywiście, że nie – roześmiała się. – To byłaby zbrodnia z konserwatorskiego punktu widzenia. *Bitwa* to wyjątkowa rzecz, ona ma powierzchnię dwupokojowego mieszkania, ponad czterdzieści metrów kwadratowych. Nie można jej zdjąć. Na razie ją zasłaniamy, podobnie jak inne dzieła. Wymienimy je z czasem na eksponaty z magazynów, nie sędzę, żeby przeciętny zwiedzający zauważył różnicę. A co do *Bitwy*, to ukryłabym ją za przepierzeniem, ale to już będzie decyzja mojej następczyni lub mojego następcy.

– Mam nadzieję, że to głupie żarty.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Panie ministrze – powiedziała powoli i dobitnie. – Jestem odpowiedzialną urzędniczką państwową, historyczką sztuki, dyrektorką najważniejszej placówki muzealnej w Polsce. I poważnie traktuję wrażliwość zwiedzających. Naprawdę chce pan tłumaczyć dzieciom z podstawówki, co na ścianie Muzeum Narodowego robi obraz *Leżąca Wenus z małpką i amorkiem*? Przecież to brzmi jak nazwa katalogu w jakimś podziemnym internecie dla zwyrodnialców.

– Te dowcipasy będą panią drogo... – przerwał, zerkając na leżący na blacie telefon, który rozjarzył się powiadomieniami.

Profesorka Zofia Lorentz zerknęła na zegarek.

– Oczywiście poinformowaliśmy opinię publiczną w specjalnej informacji prasowej o wielkiej reformie muzeum. Społeczeństwo powinno jak najszybciej się dowiedzieć, że to miejsce jest już bezpieczne.

Podsekretarz zaklął i wybiegł z sali konferencyjnej, a Zofia zapatrzyła się na pejzaż Pruszkowskiego. Pewnie nikt tu nie wiedział, że ten dziwny marsjański krajobraz przedstawia tak naprawdę świt wstający nad zmierzającymi na syberyjską katorgę zesłańcami.

Polska. Tu żaden pejzaż nie jest po prostu pejzażem.

Wysiadła z tramwaju na rondzie Waszyngtona i postanowiła przejść się na miejsce spotkania. Czasu miała aż nadto, a codziennie drżała, że niezależnie od zmian klimatycznych ten właśnie dzień będzie ostatnim dniem pogody, zanim nad Warszawą usiądzie swoim szarym dupskiem środkowoeuropejska chmura i wstanie dopiero na początku maja.

Szła uliczkami na tyłach Francuskiej, chłonęła warszawską jesień i poczuła się znienacka szczęśliwie i beztrosko. Uczucie absolutnie bezsensowne, biorąc pod uwagę, że została właśnie wrogiem publicznym numer jeden aktualnej władzy, że gównoburza wokół niej będzie trwała tygodniami, straciła wymarzoną pracę w swoim zawodzie, a w domu czeka na nią mąż, który traci pamięć, przede wszystkim tę najważniejszą – pamięć ich miłości.

Mimo to uśmiechnęła się w przestrzeń i nawet na chwilę zapomniała o tym, jak bardzo jest wściekła, że przez przyjacielskie przysługi musi znowu marnować czas na picie kawy z jakimś nuworyszem o dziwacznej profesji, który będzie chciał, żeby mu znalazła Bursztynową Komnatę.

Widziała w życiu wiele ładnych domów i pięknych mieszkalnych wnętrz, dzięki Karolowi poznała przecież kilku pierwszoligowych kolekcjonerów, ale ten pałac świadomego mieszczaństwa zrobił na niej wrażenie. Z zewnątrz nowoczesna willa, tak udanie modernistyczna, że studenci architektury i czytelnicy Filipa Springera przychodzili zapewne lizać parkan, aby spłynęło na nich trochę minimalistycznego ładu i funkcjonalistycznej boskości. W środku muzeum prostej elegancji, w której tylko wprawne oko mogło dostrzec dziesiątki i setki tysięcy euro mrugające zza mebli, lamp i kilku niepozornych dla laika rzeźb i obrazów

w dyskretnych ramach. Z zazdrością skonstatowała, że nawet gdyby dysponowała nieograniczonym budżetem, nie potrafiłaby tego mieszkania wyposażyć z takim smakiem. Zwłaszcza dekoracja malarska, Nacht-Samborski i oszałamiający Wróblewski bardzo, ale to bardzo współgrały z jej gustem.

Chciała posiedzieć w tym wnętrzu, dlatego życzliwie słuchała dziwnego gospodarza, choć przyszła tu z zamiarem wypicia kawy, ucięcia tematu i zniknięcia tak szybko, jak tylko się da. Musiała przyznać, że jej rozmówca, który przedstawił się jako naukowiec, więc na pewno nie był twórcą tej fortuny, co najwyżej dziedzicem, w niczym nie przypominał tradycyjnego miłośnika zaginionych skarbów i teorii spiskowych, z przetłuszczonymi włosami i wzrokiem radzieckiego proroka, który posiadał jedyną prawdę o świecie – a z takimi zwykle miała do czynienia. Brodaty, szeroki w barach blondyn musiał już przekroczyć czterdziestkę, ciekawy typ, trochę władca wikingów albo kapitan z marynistycznego eposu, co to zawsze chodzi w płaszczu pachnącym przygodą, fajkowym dymem i morzem. A trochę też – może dzięki założonej na golf marynarce – wrażliwy lewicowy intelektualista, zgarbiony od niesienia ciężaru cierpień klasy pracującej. Adrian Zandberg, gdyby pochodził na siłownię i dał się trochę obrobić słońcem i wiatrem, wyglądałby jak kuzyn Bogdana Smugi. Taki to był typ. Czyli kompletnie nie jej typ, a jednak im dłużej go słuchała, tym bardziej żałowała, że nie założyła wyższych obcasów i mniej formalnej garsonki. Przy brodatym wikingu czuła się jakaś niepozorna i urzędnicza.

Niskim głosem zachwycił się jej osiągnięciami już kwadrans, postanowiła skrócić jego męczarnię.

– Proszę się nie gniewać, ale nie musi mi pan streszczać mojego życiorysu, znam go lepiej i potrafię opowiadać ciekawiej – powiedziała. – Proszę wybaczyć mój dystans, ale spotykam się z panem tylko dlatego, że mamy wspólnych znajomych. Domyśla się pan, że to nie jest moja pierwsza taka rozmowa.

– W sensie?

– W sensie, że od kilku lat, odkąd przy moim udziale odnaleziono zaginiony obraz Rafaela, a przy okazji nieznaną kolekcję impresjonistów, różne osoby wyszukują moich znajomych, żeby doprowadzić do takiego spotkania. Zazwyczaj odmawiam, czasami nie mogę, ponieważ o przysługę proszą zbyt bliscy przyjaciele.

– Jak w tym wypadku?

Potwierdziła gestem.

– Ale doceniam, że rozmowa odbywa się w takim wnętrzu.

Wstała i podeszła do Wróblewskiego, pływająca nad zatopionym miastem złota rybka działała na nią hipnotycznie, no chciałaby to mieć na ścianie. Na ścianie w muzeum, oczywiście, poprawiła się w myślach.

– Pańska rodzina wypożycza czasami te dzieła?

– Rzadko. Ojciec twierdzi, że żaden artysta nie maluje z myślą o muzeach, a miejsce sztuki jest tam, gdzie żyją ludzie, i tylko tam dobrze wygląda.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Cisza przedłużała się, co najwyraźniej obojgu nie przeszkadzało i w magiczny sposób rozluźniło atmosferę.

– Nie jest pani ciekawa, z czym przychodzę?

– Niespecjalnie.

– To nie jest zbyt naukowe podejście.

Wzruszyła ramionami.

– A propos naukowe, to kim pan właściwie jest z zawodu? – zapytała. – Przyznaję, że próbowałam się czegoś o panu dowiedzieć i nie rozumiałam ani jednego słowa ze znalezionych informacji.

– Biologiem strukturalnym, zajmuję się interakcją wirusów typu dsDNA z immunoglobulinami hlgG, korzystając z mikroskopii krioelektronowej.

Obejrzała się, przekonana, że z niej kpi, używając specjalnie języka, w którym ani jedno słowo nie pochodzi z polszczyzny, ale nie, patrzył na nią spokojnie i poważnie.

– To wąska specjalizacja – dodał. – Zresztą jak wszystkie we współczesnej nauce.

– A czym jest MacArthur Genius Grant?

Podrapał się po brodzie, wyglądał na zakłopotanego.

– Taki grant naukowy.

– Dla geniuszy?

– Nazwa jak każda inna.

Pokiwała głową w zamyśleniu. Ciekawe.

– Panie... – zawahała się, nie chciała mówić do niego per „panie Bogdanie” – przepraszam, jaki jest pański stopień naukowy?

– Mam habilitację.

– Panie doktorze, wracając do pańskiego pytania, czemu nie obgryzam paznokci z podniecenia przed naszą rozmową, wyjaśniam, że jestem historykiem sztuki. A ludzkość w swoim zbiorowym szale tworzenia wyprodukowała sztuki tyle, że nawet gdybym żyła sto dwadzieścia lat, to nawet bym nie liznęła tematu. Tak, zajmowałam się kiedyś odzyskiwaniem zagrabionych Polsce dzieł sztuki, ale najważniejsze już znalazłam, więc sam pan rozumie. Człowiek dojrzewa, uznaje, że lepiej poświęcić życie bytom istniejącym niż potencjalnym. Mówię o tym, żeby pan nie robił sobie złudzeń, że w tych wspaniałych wnętrzach snuta niskim głosem opowieść o Bursztynowej Komnacie, Złotym Pociągu, szkatule królewskiej czy – machnęła ręką w stronę Wróblewskiego – legendarnych zbiorach polskich kolorystów zrobi na mnie wrażenie.

Tak naprawdę, myślała, siedzę tutaj, żeby mieć wymówkę i wrócić później do domu, skrócić jak najbardziej czas pomiędzy powrotem a zaśnięciem. Żeby jak najmniej rozmawiać, zminimalizować szansę na dowiedzenie się, że jakieś ważne wspomnienie uleciało, a razem z nim – nasza historia.

Ale te uwagi zachowała dla siebie.

Uśmiechał się uprzejmie, grzebiąc bezmyślnie w ptysiu z Lukullusa, ale szlag go trafiał. Kiedy przygotowywał się do tego spotkania, nawet nie rozważał opcji, że pani profesorka doktor-ka, psia jej mac, habilitowana, gwiazda historii sztuki Zofia dyrektorka Lorentz wzruszy ramionami, zanim na dobre otworzy usta. W jego wyobrażeniach siedziała na kanapie onieśmielona przebogatym salonem, potem z zapartym tchem słuchała syberyjskiej historii rodzinnej, rzucając czasami „ach” i „och”, kiedy przejdzie do relacjonowania własnych przygód na Wschodzie, aż w końcu, kiedy przedstawi sprawę, dorzucając niedbale: „cena nie gra roli”, powie drżącym głosem: „ależ jak mogłabym odmówić”.

Tymczasem pani profesorka przechadzała się znudzona po salonie, patrzyła na niego jak na akwizytora cudownych odkurzaczy i brakowało tylko, żeby miała na sobie koszulkę z napisem „I wish I could invoice people for wasting my time”.

Zrozumiał, że trzeba zmienić taktykę.

– Pani profesorko – powiedział spokojnie, odstawiając ptysia. – Czy mogę być z panią szczerzy?

– Skąd, proszę dalej marnować mój czas – odpowiedziała, teraz dla odmiany nie patrząc nawet w jego stronę, zajęta oglądaniem portretu młodej dziewczyny.

Nie zareagował na zaczepkę.

– Nie interesuje mnie historia sztuki – zaczął. – Kompletnie. Jeśli o mnie chodzi, wszystko to mogłoby nie istnieć. Te wszystkie zamalowane dechy, płótna, katedry, falliczne posągi i dzbanki ze scenami z *Iliady*, uważam, że ludzkość znajdowałaby się dziś w innym miejscu, gdyby nie poświęcała czasu na te bzdety. Dodatkowo, jako fan szkiełka i oka mam na pieńku z religią, zarazą dla naszego gatunku bardziej szkodliwą niż dżuma, grypa hiszpanka i topniejące lodowce. A jasne jest, że bez kaplicy Sykstyńskiej, Błękitnego Meczetu, katedry

Notre-Dame i prawosławnych ikon kapłanom wszelkiej maści trudniej przyszloby zdobyć władzę nad duszami maluczkich. Dla kasy i chwały artyści przez stulecia wspierali talentem głoszone przez katabasów bajdy, a tamtym łatwiej było zarządzać kolejne rzezie w przepięknych świątynnych wnętrzach, oświetlonych światłem witraży.

Oderwała wzrok od portretu dziewczynki i spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Śmiać mi się chce – kontynuował, nie potrafiąc pozbyć się z głosu szyderczego tonu – że to dziwne hobby, polegające na badaniu kształtu mamuta wykrobanego na ścianie jaskini nazywa się w ogóle nauką. Nic lepiej nie pokazuje dewaluacji tego szlachetnego pojęcia, w którym kiedyś chodziło o zrozumienie i wytłumaczenie wszechświata. I w końcu mam tak bardzo w dupie, w jakiej jamie lub piwnicy zakopano Bursztynową Komnatę, że każdy anatomopatolog byłby zdziwiony w czasie sekcji, że tak odległe i mroczne miejsce w ogóle w ludzkim ciele istnieje.

Skończył i patrzył jej beczelnie w oczy, ale im dłużej patrzył, tym bardziej czuł się nieswojo. Profesorka Zofia Lorentz miała oczy niezwykle, kompletnie lub prawie kompletnie czarne, w słabnym świetle wrześnieowego popołudnia nie mógł dostrzec żadnej granicy między źrenicą a tęczówką. Typowe czarne ślepia ludów Dalekiego Wschodu, gdyby nie zostały osadzone przez naturę w klasycznej twarzy słowiańskiej blondynki, z ciemnymi brwiami, wystającymi kośćmi policzkowymi i krótkimi miodowymi włosami zaczesanymi za uszy.

Po raz pierwszy dostrzegł, że profesorka żoła Lorentz, którą w pierwszej chwili wziął za asekualną nudną urzędniczkę, jest atrakcyjna w sposób – przez chwilę szukał porównania – w sposób, z jakim dotychczas się nie zetknął.

Upiła łyk kawy, patrząc na niego bez emocji.

– Wazy – powiedziała. – A nie dzbanki. Poza tym bardzo ciekawe. I co dalej?

Wstał, podszedł do prostego kredensu, otworzył go i wyciągnął pudełko z intarsjowanego drewna. Położył na stole, otworzył i zaprosił ją gestem.

8

Trzymała fason, ale musiała przyznać, że bawiła się świetnie. Kawa dobra, wnętrze piękne, portret Nachta pierwszoligowy, a gospodarz, nawet jeśli kompletnie nie w jej typie, to jednak przystojny i jeszcze zabawny, jak się rozkręci. No i ciągle miała wymówkę, żeby nie wracać do domu. Uznała, że należy jej się tego dnia trochę rozrywki.

– Bursztynowa Komnata to faktycznie nie jest – powiedziała z przekąsem, ponieważ cylindryczne pudełko miało rozmiar kubka do kawy, ale zawodowa ciekawość zwyciężyła i nachyliła się nad stołem.

– Mogę? – zapytała, wyciągając rękę.

– Oczywiście.

Delikatnie wyjęła z pudełka kulę, trochę mniejszą od bilaradowej, zrobioną z nieznanego jej kamienia. Procesy geologiczne sprawiły, że różne odcienie turkusy naciekały na siebie, mieszały się i przenikały, trudno uwierzyć, że natura sama osiągnęła ten efekt. Kulę pokrywała delikatna siateczka z różowego złota, układająca się w formę geometrycznego ornamentu, który dziś zostałby nazwany „tribalem” w katalogu salonu tatuażu.

– Interesujące – powiedziała w końcu. – Może mi pan powiedzieć...

– Ciekaw jestem pani zdania.

– Nie specjalizuję się w biżuterii, ale moim zdaniem coś takiego nie ma prawa istnieć. Po robocie jubilerskiej, wyśmienitej, powiedziałabym, że to koniec dziewiętnastego, początek dwudziestego wieku. Po różowym kolorze złota, że to Rosja, wymyślili i pokochali ten stop złota, miedzi i srebra na długo

przed Zachodem. Tylko ten ornament wskazuje na rdzenne ludy, a nikt wtedy nie łączył takich motywów ze sztuką biżuteryjną białego człowieka. Przyznaję, że głupio mi to mówić na głos, bo to ta sama półka, co Bursztynowa Komnata i złote pociągi, ale...

Patrzył na nią z kpiącym uśmiechem.

– Pomogę pani się przemóc, pani profesorko. – Delikatnie wyjął swoimi rękami drwała kulę z jej dłoni, przekręcił i otworzył, rozdzielając kamień na dwie połówki sfery.

Być może Smuga miał rację, być może jej branża nie należała wcale do nauki, a samo jej powstanie stanowiło jedynie próbę uwznioślenia ludzkiej ciążoty do błyskotek, usprawiedliwienia ludycznej potrzeby bycia zadziwionym i olśnionym. Cóż, nawet jeśli, to nie żałowała w tej chwili, że jej pseudonauka doprowadziła do tego, że znowu poczuła dreszcz obcowania z nieznanym jej do tej pory pięknem. W świetle wiszącej nad stołem lampy mogła zobaczyć, z jaką precyzją wykonano tajemnicze cacko. Przez cienką warstwę minerału przeświecało światło, rzucając turkusowe błyski. Na które nie zwracała uwagi, ponieważ doktor Bogdan Smuga z namaszczeniem zdumiewającym u nieczułego na piękno sztuki prawdziwego naukowca wyjął ze środka sfery maleńkiego niedźwiadka, wykonanego z kawałka czegoś atramentowo-czarnego, bazaltu zapewne. Obok niedźwiadka leżał niewielki kluczyk z różowego złota.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że to...

– *Automaton?*

Podniosła wzrok, ich twarze prawie się stykały.

– Po polsku mówi się automat.

– Ale to nie brzmi tak tajemniczo, prawda? – uśmiechnął się i mrugnął zawadiacko.

Ostrożnie włożył kluczyk w otwór z boku misia i przekręcił kilka razy. Kiedy go wyjął, miniaturowe bazaltowe zwierzątko przedreptało z szumem stuletniego mechanizmu kilka centymetrów, stanęło na tylnych łapach i tak zamarło.

– Teraz proszę mi powiedzieć, czy to jest na tej samej półce, co Bursztynowa Komnata i Złoty Pociąg? – spytał, nie starając się nawet ukryć triumfalnego szyderstwa.

Westchnęła.

– Takie rzeczy w tych czasach, o ile oczywiście nie myślę się z datowaniem, robił tylko jeden warsztat, Karola Gustawowicza Fabergé z Petersburga. I – uniosła ostrzegawczo palec – jeśli to nie jest żart i naprawdę pokazał mi pan zaginiony zabytek z warsztatu Fabergé, to tak, oficjalnie jestem pod wrażeniem. Proponowałabym też nie trzymać tego w kredensie, tylko wybudować sejf specjalnie dla tego cacka. Jest warte fortunę.

Bogdan Smuga od niechcenia wsadził misia do turkusowej sfery, zamknął, schował do pudełka i bezceremonialnie wrzucił do kredensu.

– Bez przesady. Tak jak mówiłem, jestem człowiekiem szkiełka i oka, tańczący miś nie robi na mnie wrażenia tylko dlatego, że jest stary. Lubię go, bo to rodzinna pamiątka. Ale może przynajmniej teraz mnie pani wysłucha, bez kpín, docinków i traktowania jak wariata, który marnuje pani cenny czas. Możemy się tak umówić, pani profesorko?

9

Profesorka Zofia Lorentz stała przy drzwiach balkonowych i patrzyła na czerwone niebo nad Saską Kępą. Słońce wisiało już nisko i w magiczny sposób rozświetlało całą Warszawę intensywnym pomarańczowym blaskiem, sprawiając, że ludzie zadzierali głowy, wychodzili na balkony i odrywali wzrok od telefonów, żeby spojrzeć na swoje miasto w niespotykanej iluminacji.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego słońce czasami świeci na czerwono – powiedziała.

– Słońce zawsze świeci tak samo, tylko w wyniku rozproszenia światła w atmosferze różne długości fali docierają do

naszego oka. Przy wschodach i zachodach promienie słoneczne biegną do nas pod płaskim kątem i napotykać po drodze tyle cząsteczek atmosfery, że z całego widma zostają tylko różne odcienie czerwonego.

Bogdan Smuga stanął obok niej.

– Zwiastuje dobrą pogodę, panie naukowcu? – zapytała.

– Wręcz przeciwnie. Im bardziej czerwone światło, tym więcej cząsteczek wody w atmosferze i tym większa szansa, że ta woda przeobrazi się w chmurę, a z chmury lunie.

Nie skomentowała, stała dalej w milczeniu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i myślała, a im dłużej myślała, tym głębszą czuła gorycz. Opowiedziana jej przez Bogdana Smugę historia do pewnego momentu brzmiała zabawnie i przygodowo. Młody zesłaniec, zamiast umrzeć z wycieńczenia, zostaje sławnym badaczem syberyjskich plemion i pionierem etnografii, wśród rdzennych ludów wiecznej zmarzliny odnajduje miłość, szczęście i przynależność. Jako doświadczony wojownik o wolność broni ich przed kolonizatorskimi zapędami Rosji i Japonii. Wspaniała historia, każde zdanie jak zapierające dech ujęcie z wysokobudżetowego filmu. Ale im dalej – tym gorzej. Polski bojownik wraca do ojczyzny, w której nikt go nie chce i nie potrzebuje, nowoczesny naukowiec jest nękanym w świecie, w którym Kościół nie pozwala nauczać na uniwersytetach teorii Darwina, w końcu jak wielu innych szuka szczęścia na Zachodzie, gdzie umiera biedny i zapomniany. A bliski jego sercu rdzenny lud ulega silniejszym, szamani giną, język zostaje zakazany, kultura roztapia się w szybszej i łatwiejszej, nieliczne ocalałe tradycje zamieniają się w lunaparkową karykaturę, prowincjonalną atrakcję turystyczną. Kiedy w końcu na podstawie badań polskiego bojownika o wolność próbuje się odtworzyć zapomniany lud, jest już za późno dla wszystkich.

– I jaki jest dokładnie pański stopień pokrewieństwa z Czerskim?

– Praprastryj od strony matki, rodzony brat jej pradziadka.

Moja prababcia urodziła się pod koniec dziewiętnastego wieku i żyła prawie sto lat, jak się mną opiekowała w latach osiemnastych, to dużo opowiadała o stryju Benku, musiał na niej zrobić ogromne wrażenie, kiedy była dorastającą pannicą. Wtedy przez kilka lat mieszkał w Polsce, pomiędzy powrotem ze Wschodu i wyjazdem do Paryża.

Pokiwała głową, a Smuga poszedł zapalić światło. Umiejscowienie rozmieszczone lampy podkreśliły wszystkie warte wyeksponowania elementy wnętrza. Wróblewski rozjarzył się kolorami i wyglądał tak pięknie, że miała go ochotę ukaść.

– Oddam panu sprawiedliwość, że to bardzo ciekawa opowieść i faktycznie nie chodzi w niej o Bursztynową Komnatę. Cacuszko z tańczącym niedźwiedziem jest fascynujące. Bardzo dziękuję za interesujący wieczór, ale ciągle nie rozumiem, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać.

– Ponieważ jest pani jedyną osobą, która może znaleźć nieznajdowalne.

Parsknęła śmiechem.

– Panie doktorze – powiedziała, nie kryjąc politowania – pan ma chyba, jak wielu zresztą, mylne wyobrażenie mnie jako Indiany Jonesa w spódnicy. Rozumiem, że historia z Rafaelem została sprzedana przez durne media w sensacyjny sposób, ale tak naprawdę byliśmy grupą historyków sztuki i urzędników muzealnych, dokonującą na zlecenie państwa polskiego rewindykacji zaginionego zabytku. Naprawdę składa pan dyrektorze Muzeum Narodowego propozycję odnalezienia zaginionej skrzyni pańskiego prastrzyjka? Czy ja wyglądam jak Dionizy Kiwajło albo Polipirydion? Śmieję się, ale chyba powinnam się obrazić.

– Może chociaż wysłucha mnie pani do końca?

Gestem wyraziła przyzwolenie, jednocześnie komunikując wyrazem twarzy, że skoro zmarnowała już tyle czasu, to dodatkowe kilka minut nie zrobi różnicy.

– Przedstawię kilka argumentów, które może panią przekonają. A może nie, ale dam szczęściu szansę – w głosie Smugi

słyschać było lekką drwinę. – Pierwszy jest ogólnościowo-kulturalny, ja miałbym go gdzieś, ale dla historyczki sztuki powinien mieć znaczenie. W przypadku Rafaela, czy innych podobnych przypadków, poświęciła pani wiele, żeby uratować jakiś artefakt ważny dla naszej kultury. Tutaj ma pani szansę uratować całą kulturę. Może nie tak wyróżnioną przez Boga i historię jak polska, ale jednak. Jak mówiłem, Ajnowie używają dziś prac stryja Benka, żeby wskrzesić swoje zapomniane tradycje. A robią to na podstawie jego listów wysyłanych do polskich przyjaciół, artykułów, kilku książek. Tymczasem duża część badań, z zapiskami, rysunkami, zdjęciami, podobno nawet z woskowymi cylindrami Edisona, na których nagrywał ich obrzędy, wszystko to jest w jego zbiorach, które są, cholera wie gdzie. Proszę sobie wyobrazić sytuację, kiedy to Polacy są na granicy stania się wymarłą kulturą, że z naszej tradycji zostały dwie szable i strój łowicki w niemieckim albo rosyjskim skansenie. I nagle sensacyjne odkrycie kulturowego skarbu nie tylko daje materiał badaczom, ale sprawia, że żyjący nad Wisłą Niemcy i Rosjanie czytają po raz pierwszy *Trylogię*, słyszą po raz pierwszy *Wśród nocnej ciszy*.

– Została szabla, a znają polski na tyle, żeby przeczytać *Trylogię*?

Uznała żart za udany, skoro Bogdan Smuga spojrzał na nią smutnym wzrokiem Adriana Zandberga, który właśnie dowiedział się, że w jego biurze poselskim pan sekretarka pracuje na śmieciówce.

– Argument drugi to argument narodowy – ciągnął niezrażony. – Stryj Benek był dla etnografii tym, kim Maria Skłodowska dla fizyki i Fryderyk Chopin dla muzyki. Jeśli wierzymy w rolę identyfikacji plemiennej, to chyba dobrze identyfikować się przez wielkich uczonych, którzy nie dość, że opisali nam świat, to jeszcze poświęcili się obronie słabszych i zapomnianych.

– Zgoda – powiedziała.

– Już? Wystarczy? Weźmie pani to zlecenie?

– Nie. Zgadzam się z pańskim wywodem. Przynajmniej z tym elementem.

Spojrzał na nią zakłopotany, nie wiedząc, czy ma się roześmiać z żartu, czy nie, co wcale nie było rzadką reakcją wśród rozmówców Zofii Lorentz. Chwilę odczekał i kontynuował.

– Argument trzeci jest ogólnonaukowy. Z punktu widzenia nauk etnograficznych to są bezcenne materiały, pozwoliłyby inaczej spojrzeć nie tylko na Ajnów, ale na wszystkie kultury syberyjskie, na ich wierzenia, być może inaczej rozrysować kulturową mapę Dalekiego Wschodu. Tutaj uprzedzę pani pytanie, że wbrew pozorom wcale nie mam tego gdzieś, uważam, że w przypadku wiedzy więcej zawsze znaczy więcej i nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda. Astronomowie odnajdują komety w religijnych kosmogoniach, geolodzy centra trzęsień ziemi w ludowych podaniach, paleontolodzy na podstawie mitycznych stworów domyślają się, jakie kości mogli odkopać starożytni. Wiedza jest zawsze dobra.

Skinęła głową z aprobatą, nie mogłaby się zgodzić bardziej.

– Pozostałe argumenty są natury osobistej.

– Wspaniale. Tym bardziej zamieniam się w słuch.

– Po czwarte, i przyznaję, że to argument bardzo świeży, jeśli wierzyć paskom we wszystkich telewizjach, nie jest pani dyrektorką Muzeum Narodowego i być może taki projekt w okresie przerwy między posadami wyda się pani interesujący.

Zawiesił głos i czekał na komentarz z jej strony. Bezskutecznie.

– Po piąte, kwestia ceny.

Wzdrygnęła się. Nie wiedzieć czemu, zdanie zabrzmiało złowieszczo.

– Powiedział pan to tak, jakbym to ja musiała zapłacić.

– Wręcz przeciwnie. Kwestia ceny w tym wypadku nie istnieje. Zarówno pani honorarium, jak i koszty poniesione w trakcie tych poszukiwań zależą tylko i wyłącznie od pani.

– Nawet gdybym zażądała tego Wróblewskiego?

– Cóż, myślę, że ojcu łatwiej byłoby się rozstać z dowolną ilością gotówki niż z tym obrazem, ale gdyby się pani uparła, osobiście zapakowałbym go w folię bąbelkową i dostarczył do domu. Albo do dowolnego wskazanego przez panią muzeum – dodał, widząc jej uśmiech. – Proszę zrozumieć, że dla mojej rodziny to sprawa priorytetowa, oni naprawdę chcą przejść do historii jako ludzie, którzy odzyskali dla świata stryja Benedykta. Reasumując, może pani zająć się walką z ministerstwem w sądzie pracy albo wyruszyć na poszukiwania, które dadzą pani majątek i osobistą satysfakcję, Polsce naukowca na miarę Marii Skłodowskiej, a niedobitkom rdzennego ludu szansę, żeby ich tradycja nie zginęła bezpowrotnie. Tak w skrócie wygląda propozycja, którą panią obrażam, i mam tylko jedną prośbę.

– Tak?

– Proszę więcej nie kpić z Polipirydiona i Dionizego Kiwajły, to najważniejsza lektura mojego dzieciństwa.

Wstała, źle jej się myślało na siedząco, musiała chodzić. Podeszła do Wróblewskiego, podeszła do Nachta, wróciła do okna, za którym pomarańczowy zmierzch zamienił się w zwyczajną jesienną noc. Spojrzała na Bogdana Smugę, zgarbionego na kanapie, z łokciami opartymi na kolanach, wiking znużony całym dniem łupienia.

– Dwa pytania. Dlaczego ja? Niech pan sobie weźmie zdolnego studenta, żeby siedział po archiwach. Nic nie zrobię, czego on nie potrafi. Wyjdzie prościej i taniej.

Spojrzała na nią wzrokiem osoby, która zastanawia się, czy szczerść jej się opłaci. No nie mógłby grać Bogdan Smuga w pokera.

– Próbował już pan tego?

– Więcej niż raz. Nie uwierzy pani, na ile kłódek są pozamykane różne drzwi w ogólnodostępnych archiwach i publicznych instytucjach. Nawet kiedy ma się zestaw wytrychów zrobiony ze studolarówek.

– Uwierzę. Czyli tak naprawdę nie chodzi o moją wyjątkową wiedzę, tylko o ludzi, których znam, i o ludzi, których tamci znają. Potrzebuje pan muzealnej celebrytki, która pootwiera te wszystkie kłódki.

– A drugie pytanie? – uciekł od odpowiedzi.

– Ciekawi mnie, co będzie miało z tego pańskie szkiełko i oko?

– Wolność. Nauka ma sens tylko wtedy, kiedy jest wolna, kiedy nie ustawia się pod ministerstwo, pod korporację, pod instytut albo pod grant – zawiesił głos, jakby walczył ze sobą, czy jej coś wyznać. – Wspomniała pani o MacArthur Genius Grant. Okej, to nie jest jakieś tam stypendium. To pół miliona dolarów dla największych mózgów nauki, żeby przez pięć lat mogli pracować, nad czym chcą. Wyżej jest tylko Nobel. Niestety właśnie mi się kończy, a razem z nim naukowa wolność. Jeśli panią przekonam, jeśli osiągniemy cel, to drodzy mama i papa przeznaczą dużą część swojego majątku na finansowanie moich badań. Jako naukowiec będę wolny. Taki to jest układ.

– I warte pierdyliardy nieznane zabytki z warsztatu Fabergé nie mają tu nic do rzeczy?

Wzruszył ramionami.

– Mają, jeśli ktoś mi je pozwoli opchnąć na Allegro i wybudować sobie za to własne laboratorium. Ale rozumiem, że dla pani wartość kulturowa ma znaczenie, rodzina chętnie podpisze umowę, że wszelkie znaleziska odkryte w wyniku pani działań znajdą się w już istniejących lub specjalnie założonych muzeach.

Bogdan Smuga skończył, ona też milczała, oboje rozumieli, że na tym etapie nie można nic więcej powiedzieć.

Przypomniał jej się dzień sprzed kilku lat, kiedy rano stawiała się do pracy jako ministerialna urzędniczka, a wychodziła jako najemniczka, wysłana przez premiera ze specjalną misją kra-
dzieży zaginionego dzieła sztuki. Po drodze wszystko potoczyło się źle, kilka razy omal nie zginęła i do tej pory, kiedy wracały wspomnienia, miała wrażenie, że oglądała to wszystko w kinie,

a nie faktycznie przeżyła. Przez te kilka lat nie było dnia, żeby do tych wydarzeń nie wracała, żeby jej nie brakowało tego haju, adrenaliny, niepewności.

Teoretycznie nie mogła takiej propozycji odrzucić. A praktycznie – musiała.

– Proszę dać mi chwilę na zastanowienie – powiedziała w końcu.

10

Mówiono o nim wiele rzeczy. Że wiadomo, każdy marszand to złodziej. Że za tanio kupuje. Za drogo sprzedaje. Zaniża ceny, zawyża ceny i w ogóle spekuluje. A takie spekulacje to komu są na rękę, no wiadomo, jak się najlepiej pierze kasę dla mafii. Że z tym ferrari kombi to bujda. Że się głównie zna na sztuce. Pozer, blagier, cwaniak, tandeciarz, bawidamek, bezguście, ordynus. A teraz w muzeum pracuje, wielki społecznik, ściema. Władzy się podlizuje, taki handlarz to przecież ani sumienia, ani kręgosłupa. I na pewno nie aż tak przystojny, jak mu się wydaje. Najszybciej się taki chłopiący urok starzeje, nagle się w starego dziada zamieni. Tyle z tego będzie miała profesorka, stary dziad, głupie dowcipy i aroganckie odzywki, właściwie to żal mi kobiety.

Litania nie miała końca, tym bardziej że sam zainteresowany nie komentował, nie dementował, nie tłumaczył i generalnie – w czym na pewno by mu przyklasnął Bogdan Smuga – miał gdzieś. Uważał, że przejmowanie się opinią bliźnich jest jak picie coca-coli, słuchanie polskiego popu albo wbijanie sobie widelca w futa – można, ale po co?

Ale nikt nie mówił, że Karol Boznański jest idiotą. Faktycznie, myślał szybko i sprawnie, i bardzo tego żałował, ponieważ przez to doskonale rozumiał, co się dzieje, i rozumiał, co to znaczy dla niej, a świadomość ta sprawiała, że przez cały czas rozrywały go trudne do zniesienia smutek i ból.

Zaczęło się pół roku wcześniej od kłótni w pokoju hotelowym w Łodzi. Co tam robili? Zosia miała spotkanie w MS2, sprzedali Kasię dziadkom i zrobili sobie romantyczny weekend w czwartek. Siedzieli przy pizzy w Bawelnie, kiedy Zosia zaczęła wspominać pizzę, jaką jedli w Kargowej ze dwa lata wcześniej, kiedy zostali zaatakowani przez wariata, który ich poznał i krzyczał, że w okolicznych lasach jest pociąg ze skarbami, a w końcu nie doceniwszy dowcipu Karola o wykluczeniu komunikacyjnym prowincji, obejmującym również pociągi ze skarbami, rzucił się na niego z pięściami.

Wysłuchał jej z zainteresowaniem, uśmieł się szczerze, po czym zapytał, czemu zmyśla niestworzone historie, skoro mają wystarczająco wiele prawdziwych do opowiadania. Ona się zdziwiła. Im bardziej ona się upierała, tym bardziej on kpił. W pokoju hotelowym, w którym mieli zamiar się kochać bez obaw, że dziecko wejdzie do sypialni, o seksie nie było mowy. Ona płakała, żeby przestał z niej szydzić, on z troską mówił, że ona musi się przebadać, że może za dużo stresu, że musi odpocząć, zmienić dietę.

W Warszawie pokazała mu zdjęcia z Kargowej. Leśniczówkę Pracy Twórczej, w której mieszkała dwa tygodnie, żeby dokończyć habilitację, rynek w Kargowej, mieli nawet selfie z restauracji Trzy Korony.

On przeprosił, ona przyjęła przeprosiny, uznali, że to przemęczenie, za dużo stresu, że musi odpocząć.

Dwa tygodnie później oprowadzali wspólnie delegację Amerykanów po warszawskim muzeum, ważny moment, ponieważ chodziło o współpracę placówek polskich i amerykańskich. Efektem miała być wystawa sztuki współczesnej, w której po raz pierwszy do Europy przyjechałoby kilka dzieł z Nowego Jorku i Chicago, dużo już było ustalone, ale negocjowali jeszcze ukochanego Magritte'a Zofii. Karol ze swoim urokiem, angielskim dowcipem i umiejętnością czarowania każdego opowieściami o ich przygodach, miał zagwarantować, że lokomotywa z *La Durée poignardée* przyleci do Łodzi.

Zamiast tego doszło do żenującej sytuacji, kiedy Karol zaczął klócić się z gośćmi, że opisane we wszystkich światowych mediach odnalezienie *Portretu młodzieńca* Rafaela tak naprawdę nigdy się nie wydarzyło. Kiedy wściekła odciągnęła go na bok, nie wiedział, o co chodzi, zarzucił, że zmyśla i że chyba jest przemęczona, i być może powinna się przebadać.

Przestraszył się, kiedy wybuchnęła płaczem. Pomarańczarka patrzyła na niego z wyrzutem.

I w końcu się przebadał. Choć to mało powiedziane. Kilka tygodni trwała ścieżka zdrowia, w czasie której wykorzystywali przysługi, przypominali się znajomym, wystawiali w poczekalniach, a kolejne badania coraz bardziej przypominały film science fiction.

I nic.

Kolejni lekarze z zadowoleniem i odrobiną dumy, jakby to była ich osobista zasługa, twierdzili, że Karol Boznański w ogóle i każdy jego podzespół w szczególności są zdrowi. Tyle tylko, że z jego głowy ulatują wspomnienia. Może to stres? Może zła dieta? Proszę odpocząć, pojechać na wakacje, jeść więcej warzyw.

Pojechali, nażarli się warzyw, wrócili. Nic się nie zmieniło.

Wtedy zaczęło się najgorsze. Wcześniej była trochę przerażona, trochę w szoku, trochę nakręcona, zdeterminowana, żeby załatwić sprawę, zdiagnozować, wyleczyć, naprawić zepsutego męża. Ale nikt nie zdiagnozował, nie wyleczył, a znajdowana rano pod drzwiami wegańska dieta pudełkowa przypominała codziennie, że ostatnią szansą na odzyskanie straconego życia stały się dla niej brokuły na parze.

Próbowała to zrationalizować, zaakceptować fakt, że z żony staje się opiekunką osoby przewlekłe chorej. Bezskutecznie.

Płakała w nocy w łazience i wstydziła się swoich marzeń, żeby po prostu miał raka. Wolałaby pielęgnować umierającego Karola, zmieniać mu pieluchy, szaleć z rozpaczy na widok jego bólu i trzymać za rękę do końca – to w pewien sposób byłaby ich ostatnia przygoda. Może by się po żałobie podniosła, może nie, może by skoczyła z mostu, a może znalazła Kasi jakiegoś sensownego opiekuna, a sobie chłopaka. Ersatz tej jedynej miłości, ale cóż, życie.

A tak? Wracала do domu i czekał na nią mężczyzna, który wyglądał jak jej mąż, tak samo mówił, tak samo się uśmiechał, tak samo gotował curry z kukurydzą – Kasia musiała mieć we wszystkim kukurydzę – grał z dzieckiem w chińczyka, mówił, śmiał się i perorował tym samym kpiącym głosem.

Ale nie był nim.

Teraz rozumiała, że miłość to wspólne wspomnienia i plany. Związek polega w dobre dni na przywoływaniu bez końca szczęśliwych chwil, a w złe rozpamiętywaniu traum, „bo ty zawsze” i „bo ty nigdy”. Różne wydarzenia, spojone zaprawą wspólnej pamięci, tworzą związkowe gmaszysko, po którym szwendamy się z pokoju do pokoju i planujemy kolejne etapy rozbudowy. Gdzie pojedziemy, żeby było tak fajnie, jak w Sude-tach? Trzeba uważać na kajakach, żeby się nie skończyło jak rok temu, może lepiej rowery? A te urodziny Kasi nie wyszły, może następne zrobmy bez kulek, zawsze się boję, że dzieci sikają w te kulki. A za dwa lata to może byśmy to ogrodzenie w końcu wymienili? Tylko bez kolców, żeby się nie pokaleczyli, jak będą do niej skakać przez płot. Patrzysz swoją miarą. Ja? A kto miał narzeczonego w zerówce?

Bez wspomnień i planów nie ma związku. Nie ma miłości. Są dwie osoby, żyjące w tym samym mieszkaniu, które ustalają, kto odbierze dziecko ze szkoły. Dopóki obie pamiętają drogę do szkoły i poznają własne dziecko – ale tego etapu nie chciała sobie nawet wyobrazić.

Szybko zrozumiał, że to, co się z nim dzieje, najmniej dotyka jego samego. Więcej: właściwie w ogóle go nie dotyka, zgodnie z amerykańskim powiedzeniem mądrych żon, że „czego nie wiesz, to cię nie zrani”. Brak wspomnień *ex definitione* oznacza, że ten, komu wspomnienia znikają, nie ma pojęcia, że zniknęły. Nie można nagle walnąć się w czoło i krzyknąć: „hej, nie pamiętam, że wczoraj wygrałem w totka, ale jaja”. On czuł się po prostu sobą, nie wiedział, czego nie pamięta, nie wiedział, czy tego dnia ma wspomnień mniej, czy więcej, a może tyle samo. A jeśli mniej – to co zniknęło?

Kiedy to zrozumiał, wziął się do roboty. Budzik zrywał go z łóżka codziennie o szóstej, przed wszystkimi. Pięć minut później dostawał przypomnienie o treści: „Masz problemy z pamięcią. Znajdź kuchnię i przeczytaj kartkę w szufladzie ze sztućcami”. Na kartce miał zapisane podstawowe informacje: jak się nazywa, że ma żonę Zofię, córkę Kasię, co mu jest. Oraz żeby przeczytał plik „memo” na desktopie komputera, gdzie czekało więcej na bieżąco aktualizowanych informacji.

Tak się zabezpieczał na wypadek, gdyby zapomniał wszystkiego. Na razie nic takiego nie nastąpiło. Budził się o szóstej niewyspany, wiedząc, że za chwilę dostanie powiadomienie, przeczyta kartkę, usiądzie do komputera. Wiedział, co jest na kartce i co jest w pliku. Nudne jak cholera, ale przynajmniej wcześniej zaczynał dzień.

Kilka miesięcy temu wziął bezpłatny urlop i zaprzestał wszelkiej aktywności zawodowej. Żeby zminimalizować stres. Na początku szlag go trafiał, ale teraz czuł się naprawdę nieźle. Robił wszystkim śniadanie, odprowadzał Kaśkę do zerówki, szedł na zakupy. Wracal, parzył kawę, przygotowywał obiad i do czasu odebrania córki ze szkoły miał czas, żeby poczytać, coś obejrzeć i przede wszystkim pracować nad swoją pamięcią.

Praca polegała na przeglądaniu pliku z zapomnianymi wspomnieniami, jaki prowadzili razem z Zosią. Krótkim tekstem, często bardzo zabawnym, towarzyszyły zdjęcia i filmy, dokumentacja ich wspólnych przygód. Za zdumieniem rozpoznawał w tych materiałach siebie, mimo że głowę by dał, że takie wydarzenia nigdy nie były jego udziałem. Plik się rozrastał, widział po datach, że wpisów przybywało, stawały się coraz bardziej lakoniczne, skrótowe, autorzy przestali się silić na lekki styl. Każdego kolejnego dnia miał mniej czasu na kawę, gotowanie i lekturę, próbując rozpaczliwie nauczyć się swojego życia od nowa, chcąc dla Zosi jak najlepiej udawać samego siebie.

Najbardziej nienawidziła tego cholernego pliku, pieprzonego grobowca ich miłości, wymurowanego z zer i jedynek. Na początku podeszła do tego entuzjastycznie, że to ma sens, oznaczało przynajmniej jakieś działanie. Za każdym razem, kiedy w rozmowie patrzył na nią bez zrozumienia, szli do komputera i uzupełniali wspomnienie. Szukała w ich telefonach zdjęć i filmów, żeby informacji było jak najwięcej. Na początku nieźle się bawiła, mogła zobaczyć, na jak różne rzeczy zwracają uwagę. Kiedy Kaśka spadła ze zjeżdżalni w Krynicy i rozbiła sobie głowę, ona miała zdjęcia z placu zabaw, których on nigdy nie robił, bo to zawsze nudne i takie same. Za to zrobił zdjęcia w gabinecie zabiegowym, kiedy ona ledwo żyła ze strachu, a on uznał, że taką chwilę trzeba uwiecznić. Mała miała minę, jakby bandaż na łbie był orderem Virtuti Militari, córeczka tatusia, śmiała się.

Atrakcyjność „skarbcza wspomnień” szybko zbladła. Bolało ją, kiedy chciał pędzić zapisywać rzeczy w komputerze, choć ona wiedziała, że już to zapisali. W końcu wrzuciła plik na chmurę, żeby też mieć do niego dostęp i wiedzieć, jakie wspomnienia tam

wrzucili. Przeglądała przed powrotem do domu, żeby czegoś nie poruszyć przy kolacji, nie chciała znowu widzieć najpierw tego niezrozumienia, a potem entuzjazmu, że on pójdzie i zapisze.

Wiedziała, że czyta go codziennie. Że się stara. Widziała zapiski, odnośniki. Przy wypadku Kaśki dodał: „patrz też narty str. 18”. Zaciekało ją to, poruszyła delikatnie temat krynickiego bandaża, na co jej mąż wyrecytował ze śmiechem: „to jeszcze nic, dwa lata wcześniej w grudniu przecież spadłaś z wyciągu w Szczawnicy, miałaś takiego guza”. Odchrząknęła i poszła ryczeć do łazienki. Zrozumiała, że on codziennie spędza czas na nauce ich życia i udaje jakiegoś wyobrazonego, nieistniejącego już siebie, żeby nie było jej przykro.

Z wyciągu faktycznie spadła, ale guza sobie nabiła, kiedy usiłowali się bzykać w narciarni, nie zdejmując butów narciarskich, tylko wstydziła się to zapisać.

Wrócił do zapomnianej klasyki, z przykrością stwierdził, że Verne'a czyta się z trudem z tą całą nieaktualną od dawna encyklopedyczną wiedzą, za to Dumas nic się nie zestarzał, wręcz przeciwnie, historyczna wiedza i perspektywa dojrzałego człowieka pozwalała mu docenić te książki jeszcze bardziej. Zauważył ze zdziwieniem, że emocjonalnie bardzo podobne jest czytanie powieści i lektura własnych wspomnień. Ba, niektóre z jego przygód wydawały się ciekawsze od tych powieściowych i co chwila przychodziło mu do głowy, że gdyby to porządnie zredagować, to może by to nawet ktoś wydał.

To podobieństwo sprawiało, że w nauce własnych wspomnień krył się niepokojący fałsz. Przypadki Edmunda Dantesa i Karola Boznańskiego w jego głowie nie różniły się, a odgrywając własną pamięć, czuł się jak hochsztapler, który przypisuje sobie losy powieściowych postaci.

Bał się, że Zosia to czuje. Że patrzy na niego jak na kiegoś aktora.

I czuł gniew, ponieważ dopóki nie zajrzał do pliku, dopóki po prostu żył sobie w tu i teraz, gotując obiad, czytając – jak teraz – Victora Hugo i grając z dzieckiem w chińczyka, był naprawdę szczęśliwy.

Po cholerę ma marnować życie na udawanie kogoś, kim nie jest, nawet jeśli tym kimś jest on sam?

15

Wstydziła się, chciałaby być lepszą osobą, ale od pewnego czasu zwyczajnie go unikała. Wychodziła coraz wcześniej, wracała coraz później, w krótkich momentach wspólnej obecności nie poruszała tematów, które mogłyby ujawnić lukę w jego pamięci. Łudziła się, że ucieczka w zwyczajną codzienność pomoże im funkcjonować. Nie trzeba przecież cały czas wspominać romantycznych wakacji. Można żyć tu i teraz, przytulić się na kanapie, obejrzeć telewizję, porozmawiać o polityce, pójść z dzieckiem na plac zabaw i trzymać je, żeby nie spadło z huśtawki. Życie na tym polega.

Nie potrafiła.

Z każdym kolejnym dniem coraz mocniej czuła, że jej życie zamienia się w tani film grozy, w którym jej mąż został zainfekowany przez obcą formę życia, a ona musi grać niedostrzegającą tego dobrą żonę, bo inaczej obca forma życia ją pożre. Każda wspólnie spędzona chwila stawała się torturą. Zosia prezentowała urzędowy optymizm troskliwej żony chorego męża, ale cały czas miała wrażenie, że kąciaki ust krwawią jej od wymuszonego uśmiechu.

To nie jest on! – krzyczały wszystkie komórki jej ciała, kiedy razem jedli, oglądali filmy, spacerowali.

Próbowała uciekać w seks. Myślała, że fizyczna bliskość jest ponad wszystko, ponad wspólną pamięć i wspólne plany,

jest tylko przyjemność teraz i nic więcej. Myliła się. Być może normalnie by nie zauważyła, że dotknął ją tak, jak nie lubiła, być może tylko cofnęłaby jego rękę, ofuknęła albo zażartowała. Ale w stanie ciągłego napięcia uderzyło to w nią jak piorun: zapomniał, jak mnie kochać.

Próbowała to przekuć w zaletę, znajdować przyjemność w tym, że w pewien sposób za każdym razem wchodzi do łóżka nieznajomego i nawet przez jakiś czas ją to podniecało, ale bliskość zamieniła się w pieprzenie, a im bardziej ona była gwałtowna, tym bardziej on zagubiony i tym bardziej starał się zachowywać, jak tego oczekiwała, wierząc, że tak trzeba, że po prostu zapomniał.

Co było jeszcze gorsze.

Tłumaczyła sobie, że przecież większość związków tak wygląda. Ludzie dekadami odgrywają przed sobą rolę kogoś, kim nie są.

I zły głos podpowiadał jej natychmiast, że takie związki trzeba kończyć jak najszybciej.

16

– Powinnaś mnie zostawić – powiedział bardzo spokojnie, kiedy zdjęła buty i usiadła przy stole w kuchni, zastanawiając się, czy bardziej ma ochotę na herbatę, czy na wino. – Przepraszam, źle to ująłem. Powinniśmy się rozstać.

Obejrzała się ze strachem, czy Kasia nie stoi gdzieś w drzwiach.

– Zwariowałeś? – powiedziała cicho i bardzo spokojnie. Bez strachu, szoku i niedowierzania, jedynie ze znużeniem.

Oboje wiedzieli, ona po prostu, a on dlatego, że to się znajdowało w jego głównym pliku „memo”, od którego zaczął dzień, że powinni wystrzegać się emocji w dyskusji. Część diagnozy Karola dotyczyła mechanizmu zapominania, który dotyczył tylko tych wspomnień, które wiązały się z emocjami,

37

z adrenaliną. Im więcej adrenaliny, tym większa dziura w pamięci. Kiedy to usłyszał, śmiał się, że to brzmi, jak baśniowa klątwa. Ona się nie śmiała.

– Nie. Dużo o tym dziś myślałem. Czytałem swoje wspomnienia i w połowie zdałem sobie sprawę, że nie doczytałem do końca przed twoim powrotem. Nawet biorąc pod uwagę, że praktycznie nie ma cię w domu.

– Po prostu... – zaczęła się tłumaczyć, ale przerwał jej zniecierpliwionym ruchem dłoni.

– Daj spokój, nie mam żalu. Luki w pamięci nie zmieniły mnie w debila. Spójrz na mnie.

Spojrzała.

– Jak wyglądam?

– Rewelacyjnie.

– Chory? Złamany? Przygnębiony? Poszarzały? Snujący się po domu, zaglądający pod poduszki, czy gdzieś tam nie ma wspomnień z wakacji w Mielnie?

Zaprzeczyła ruchem głowy, myśląc, że nigdy nie byli w Mielnie.

– Wiesz dlaczego? Ponieważ mi ich nie brakuje. Brakuje ich tobie. Moja choroba nie jest straszna dla mnie, tylko dla ciebie. To ty patrzysz na mnie jak na pasożyta, który pożarł twojego Karola. I mówię to bez złości, rozumiem to.

– Po pierwsze nalej mi wina. Po drugie przesadzasz, po prostu dziś...

Znowu jej przerwał.

– Do „po prostu dziś” jeszcze dojdziemy – powiedział w sposób, który ją zaniepokoił. – Zosiu, ja to widzę. Wychodzisz wcześniej, wracasz później, unikasz mnie, jak już jakimś cudem znajdziesz się obok, prawie nie otwierasz ust ze strachu, żeby nie okazało się, że nie pamiętam czegoś, co jest ważne dla ciebie.

O mało nie powiedziała: „A skąd wiesz, że się wczoraj nie kłóciliśmy?”.

– A skąd wiem, że się wczoraj nie kłóciliśmy? Bo wieczorami prowadzę pamiętniczek na wszelki wypadek. Którego nie trzymam w chmurze dla wspólnego dobra, żeby moja żona mogła w nim grzebać, kiedy jej na to przyjdzie ochota. Zaczekaj, nie przerywaj.

Uśmiechnęła się. Przed chorobą był najbardziej niecierpliwym człowiekiem, jakiego znała. Boże, jak jej tego brakowało.

– To ja decyduję o tym, kiedy komuś przerwać, a kiedy nie – powiedziała zimno. – Jak sobie wyobrażasz nasze rozstanie? Przecież jesteś przewlekle chory.

Jeszcze zanim ostatnie sylaby opuściły jej krtań, zdała sobie sprawę z tego, co tak naprawdę mówi, ale było już za późno. Zapadła niezręczna cisza.

– To ciekawe – powiedział gorzko. – Bo może nie pamiętam naszych przygód, o których czytam codziennie, ale całkiem nieźle pamiętam wiele lat zwyczajnych, prostych, szczęśliwych chwil. Zdawało mi się, być może błędnie, bo nie pamiętam kłótni, wrzasków i przemocy, a ty tego nie wpisałaś w kajet, ale zdawało mi się, że mamy życie pełne miłości.

Westchnęła.

– Karol...

– I trochę głupio usłyszeć, że trzyma cię przy mnie nie miłość, ale harcerska odpowiedzialność za biednego, schorowanego człowieka. Tym bardziej podtrzymuję to, co mówiłem. Musimy się rozstać. A skoro pytasz, jak to sobie wyobrażam? Normalnie. Wyprowadzę się, opieką nad Kasią podzielimy się po równo, przynajmniej – głos mu się załamał – przynajmniej dopóki mogę to robić tak samo dobrze jak teraz. Ty sobie znajdziesz kogoś, z kim będziesz mogła dzielić wspomnienia, a ja będę żył w swoim bąbelku przygłupiego szczęścia.

– Bąbelku szczęścia – powtórzyła gorzko.

– Co mam ci powiedzieć? Że cierpię? Cierpię, bo tobie jest źle. Ale w ogóle jest mi dobrze. Nie żyję przeszłością, a to też oznacza, że nie planuję przyszłości. W końcu po to ewolucja dała

nam pamięć, żebyśmy mogli dzięki niej planować swoje działania, unikając niebezpieczeństw i dając naszym genom szansę na przetrwanie.

Zrobiła ruch, jakby chciała coś powiedzieć, Karol przerwał, ale ona poczuła, jak gula rośnie jej w gardle. Miała ochotę mu wykrzyczeć, że przecież on planował bez chwili przerwy. Zawsze, cały czas, ona się z niego śmiała, wszyscy się śmiali. Wysiadał z samolotu w Stanach i w kolejce do kontroli paszportowej już planował, gdzie można by następnym razem pojechać. Zaczynał czytać Kinga i mówił o tym, że musi przynieść z księgarni nowego Łozińskiego. Oglądali *Stranger things*, a on jednocześnie na komórcę patrzył na trailery *Wiedźmina*. Kłóciła się z nim, że cały czas jest gdzie indziej, że nie potrafi po prostu być tu i teraz.

Tak, gdy bogowie chcą kogoś ukarać, wysłuchują jego modlitw.

Gula nie pozwoliła jej wykrztusić słowa, więc on kontynuował.

– Ja żyję tu i teraz. I jest mi z tym dobrze. Jak w buddyzmie. Ponieważ nie pragnę, a pragnienie jest przyczyną cierpienia, staję się wolny.

Zaśmiała się histerycznie.

– To jest niewiarygodne! Nie pamiętasz, jak się ze mną kochać, a pamiętasz zasady buddyzmu? To nie fair.

Normalnie ripostowałby błyskawicznie, powiedział, że nic nie poradzi, że Budda mniej gada i ma większe cycki, albo coś równie głupiego. Ale on tylko patrzył zagubiony, jak zwykle kiedy odwoływała się do czegoś, o czym nie miał pojęcia.

– I jeszcze à propos „po prostu dziś”, to wyobraź sobie, pamiętam całkiem nieźle, że jesteś dyrektorką muzeum. I dziwne było słyszeć w radiu, że cię stamtąd z hukiem wyrzucili po akcji, w której powiesiłaś na *Bitwie pod Grunwaldem* martwą naturę z bananem sterczącym jak środkowy palec, którą to akcję musiałaś szykować od dawna. I o której ani w mojej głowie, ani nigdzie nie ma śladu! Im dłużej o tym myślę, tym bardziej

jestem przekonany, że moja choroba wcale nie jest najważniejszym powodem, żeby się rozstać. Nie każdy związek musi trwać wiecznie.

Powinnam przyjąć tę propozycję, pomyślała. Ogarnąć się, zobaczyć co dalej. Odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

– Pakuj się – powiedziała. – Wyjeżdżasz w Pireneje.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca